Katarzyna Palma, III kategoria wiekowa, ZSP Twardogóra, opiekun artystyczny i korektor: Jadwiga Woźniak

 **Święta w cudownym miejscu**

 Człowiek, wychowujący się w niewielkiej wsi pod Miliczem, na terenie niebywałego skarbu przyrody, zawsze posiada swoją historię związaną z cudownymi miejscami. Dolina Baryczy od zawsze była dla mnie miejscem wspomnień i rozmyślań. Natomiast zakątki, które odwiedzałam, zawsze wyglądały podobnie i przypominały mi o pięknych latach mojej młodości - okresie, w którym poznawałam świat i nabywałam życiowego doświadczenia. Moi rodzice pokazywali mi wtedy na każdym kroku, jakie mam szczęście, że mieszkam akurat tutaj. Szczególnie mogłam dostrzec to podczas świąt, które co roku przybierały inną formę, co niechętnie akceptowałam. Od zawsze cenię tradycję, którą wyniosłam z rodzinnego domu. Jedno jednak pozostawało niezmienne - piękno miejsca, w którym zamierzam spędzać każde święta, a także przekazać miłość do otaczającej nas natury młodszym pokoleniom.

 Święta Wielkiej Nocy są dla mnie szczególnie ważne. Przyjeżdżają wtedy moje dzieci razem z wnukami, które odrywają się na chwilę od swoich telefonów komórkowych i chcą spędzić ten szczególny czas w rodzinnym gronie. Jak co roku, goście zjawiają się już w środę, która poprzedza Wielki Czwartek, czyli tak zwanego Zajączka. Jest to zwyczaj uwielbiany przez moje wnuki. Pomimo tego, że są już nastolatkami, co roku tak samo cieszą się z prezentów, które widzą na szafkach nocnych zaraz po przebudzeniu. Dzisiejszy Zajączek jest jednak w niewielkim stopniu związany z dawniejszymi obrzędami. Jedyny związek, jaki dostrzegam, to te niezdrowe, czekoladowe jajeczka zawinięte w sreberko.

 Kiedy siedzieliśmy przy stole, jak co roku, zaczęłam swoją opowieść. Byłam niemal pewna, że każdy w tym pomieszczeniu znał ją na pamięć, jednak wszyscy uważnie mnie słuchali, wiedząc, jak bardzo kocham wspominać moją młodość

- Moja mama zawsze robiła gniazda. Przynosiła siano ze stodoły i wiązała je w środę wieczorem, kiedy razem z rodzeństwem szliśmy już spać. Gdy się budziliśmy, w koszyku znajdowały się cztery gniazdka, wypełnione prezentami od Zajączka, który nam je przyniósł. Zazwyczaj były to gotowane jajka, które zawsze ręcznie ozdabiała nasza mama. Poza tym nieraz znajdowaliśmy w nich kilka krówek, które dostawaliśmy od cioci z Poznania w wigilię. Nie mieliśmy o nich wcześniej pojęcia, bo mama chowała je najlepiej, jak potrafiła.

- A co z Wielką Sobotą? - zapytała Ania, która trzymała w swoich malutkich rączkach moje zdjęcie wykonane przed kościołem. Trzymałam na nim koszyczek. - Co miałaś w koszyczku, babciu? - wskazała na przedmiot.

- W większości to, co teraz - stwierdziłam i wskazałam na koszyk, który znajdował się na wysokiej komodzie przy ścianie. - Kiełbasę, baranka z cukru lub z masła, jajka, które malowaliśmy razem z moim rodzeństwem w piątek wieczorem. Nie było barwników do jajek, każdy barwił je domowymi sposobami, często były to obierki od cebuli. Poza tym, braliśmy sól i chleb. Wszystko wykorzystywaliśmy do śniadania wielkanocnego, do którego siadaliśmy zaraz po mszy rezurekcyjnej.

- Kiedy to było? - zapytał Antek i usiadł obok mnie, trzymając zdjęcie.

- To było w Lany Poniedziałek - uśmiechnęłam się czule, przypominając sobie ten dzień.

 Moje wszystkie ciotki pochodziły z Poznania, to też zmusiło mnie do zapoznania się z tradycją tamtego rejonu. Jak co roku w Poniedziałek Wielkanocny nad jeziorem odbył się rodzinny piknik. Poznańska tradycja nakazywała, by wrzucić pannę do wody - w tym przypadku padło na mnie. Zazwyczaj dziewczyny wrzucało się do rzeki, jednak z powodu braku takowej w pobliżu, wykorzystany został staw. Woda miała symbolizować płodność. Co do dzisiejszego śmigusa-dyngusa mam mieszane uczucia. Dzieci, gdy tylko poleją się odrobiną wody, dostają reprymendę od swoich rodziców, którzy zupełnie zakazują im zabawy w ten sposób, tym samym „zdejmując uśmiechy” z dziecięcych twarzy.

 Od świąt wielkanocnych było naprawdę niedaleko do 1 maja - Święta Pracy, które dzisiaj nie jest obchodzone tak hucznie. Namówiłam jednak córkę i syna, by ich dzieci w ten dzień miały też okazję do świętowania. Dlatego też stałam teraz nad Zuzią i zaplatałam jej warkoczyk z piękną biało-czerwoną kokardą.

- Jak jeszcze mieszkałam z rodzicami, obchody Święta Pracy odbywały się w Miliczu. Wtedy obowiązkiem było, żeby chociaż jedna osoba z rodziny uczestniczyła w pochodzie. Szliśmy z najróżniejszymi flagami, transparentami. W ten dzień było naprawdę pięknie - przeniosłam wzrok na zdjęcie w ramce, które przedstawiało czteroletnią mnie, stojącą pod drzwiami naszego domu. Byłam wtedy ubrana w sukienkę z kołnierzykiem, a moje małe, dziecięce stópki osłaniały najlepsze trzewiki. Niewiele pamiętam z tamtego dnia, ale mama mówiła mi, że niechętnie odchodziłam od zabawy w piasku - stąd umorusane policzki.

Dzisiejsze obchody majowe, według mnie, nie są skupione na kultywowaniu polskości, ludzie zapominają o wywieszeniu flagi, a jedyne, o czym pamiętają, to zakupienie podpałki do grilla.
 Musiało minąć ponad pół roku, żebym wreszcie doczekała się moich ulubionych świąt - Bożego Narodzenia. Kocham te święta od dawna, głównie za klimat, który przypominał mi dawne czasy. Wszystko pokryte białym puchem wydawało się jeszcze bardziej magiczne, gdy szliśmy do lasu wybrać swój wymarzony świerk, który miał znaleźć się u nas w salonie. Dzieci biegały między drzewkami, bawiąc się w śniegu, kiedy ja i mój mąż próbowaliśmy przenieść choinkę do domu. Tego samego dnia - w wigilię - jechaliśmy nad stawy milickie kupić karpia, który potem był patroszony przez mojego męża i przygotowany przeze mnie. Przed kolacją dzieci szły na dwór, kiedy ja nakrywałam do stołu, przygotowując wieczerzę. Gdy wypatrzyły pierwszą gwiazdkę, siadaliśmy wszyscy razem i wspólnie zajadaliśmy się wigilijnymi potrawami. Jednak najważniejsza i najmilsza tego dnia była rodzinna atmosfera i wzajemne ciepło, które sobie wzajemnie ofiarowaliśmy.

 Teraz w święta jest równie pięknie. Staram się jednak omijać duże skupiska ludzi i większe miasta w okresie przedświątecznym. Widząc pośpiech, to, jak każdy kupuje prezenty dla rodziny na ostatnią chwilę, nie czuję magii świąt. Dzisiaj często nie liczy się gest, tylko wartość darowanych rzeczy. Nie przekonują mnie też sztuczne choinki, które w centrach handlowych wywołują u mnie duszności przez zapach plastiku. Dlatego jestem szczęśliwa, a moje serce rośnie, widząc mojego syna, który w wigilijny poranek wnosi świerk do salonu. Prawie dorosłe wnuki natychmiast odrywają wzrok od swoich telefonów, a w ich oczach można dostrzec rzadko spotykany blask.

- Te cukierki wyglądają okropnie - westchnęła cicho Zuzia i stanęła na palcach, by zdjąć ozdobę, którą przed chwilą zawiesiła.

- Słodycze mają być symbolem radości - uśmiechnęłam się delikatnie i podałam wnuczce pierniczek przewiązany kokardką - On będzie lepiej pasował.

- Tak, tęczowe guziczki będą pasowały do lampek - Antek zjawił się obok nas z szerokim uśmiechem. - Pamiętacie o jabłkach? - podał nam pudełko z ozdobami w kształcie owoców - Mają zapewnić nam zdrowie i urodę - wyrecytował płynnie, jak co roku.

 Po założeniu złotej gwiazdy na sam czubek choinki, która miała przypominać o gwieździe prowadzącej trzech króli do Jezusa, uznaliśmy, że teraz każdy ma czas dla siebie. Nadarzyła się świetna okazja do podłożenia prezentów pod choinkę.

Nowy rok, nowe marzenia i kolejna okazja do spędzenia czasu w gronie najbliższych. Obrzędy w pierwszym dniu nowego roku w naszym rodzinnym domu były bardzo ciekawe. Kiedy jeszcze byłam panną, zalecano mi wsłuchiwanie się w szczekanie psów. Panowało przekonanie, że ze strony, gdzie słyszało się szczekanie, miał nadejść przyszły mąż. Zazwyczaj przychodziły też dzieci z okolicy, by poczęstować je nowolakami. Były to ciastka, które wypiekałam razem z mamą w Nowy Rok z samego rana. Urwisy, które przychodziły na ciasteczka z noworocznymi życzeniami, zawsze sypały owsem w okno, wesoło śpiewając. Pamiętam też, że po wsi chodziły zespoły stworzone przez mężczyzn, które odgrywały różne scenki. Mama nazywała ich ,,dziadami’’, a sąsiadka – „kuńmi’’, ponieważ tak określała ich jej siostra spod Warszawy.

 Teraz jedyne, co spotykam w Nowy Rok, to opustoszałe ulice i pozostałości po petardach, wypuszczonych do nieba w sylwestrową noc. Czasem zdarzają się nieliczne osoby idące do kościoła na poranną mszę. Młodzi ludzie, jak choćby moje wnuki, śpią w ten dzień do południa, tracąc całą magię pierwszego dnia całkiem nowego roku..

 Jednak jest coś niezmiennego w mojej okolicy - piękno tego miejsca, które zachwyca każdego, niezależnie od wieku. Dolina Baryczy szczególnie uroczo wygląda podczas Wielkanocy - gdy listki zaczynają się kształtować na pustych gałęziach; podczas Święta Pracy - kiedy lasy pachną niesamowicie, a stawy lśnią jakby obdarowane ciepłem słońca; w Boże Narodzenie - jak tylko ziemię pokryje nieskazitelnie biały śnieg, idealnie połyskujący niezależnie od pory dnia oraz w Nowy Rok - w chwili, gdy wszystko wokół ogarnia cisza, a w tle słychać tylko śpiew ptaków, które oznajmiają piękno tego bajkowego miejsca. Święta przypominają nam o tym, co najważniejsze w naszym życiu, o pojednaniu się z bliskimi. Uświadamiamy sobie, że nawet w najtragiczniejszych momentach, to właśnie rodzina daje nam potrzebne wsparcie i pozwala inaczej spojrzeć na trudy życia. Dlatego też święta są dla mnie czasem, gdy mogę na moment się zatrzymać i rozliczyć ze swoją przeszłością w obecności najbliższych. Chociaż wszyscy różnimy się charakterami, obserwując przyrodę, która jest tłem naszej tradycji, dostrzegamy te same detale, niezależnie od pokoleń i odczuwamy dziecięcą radość z każdych przeżytych świąt.

**Fotografie:**

1. Moje ukochane wnuki – 1990 r., Sosnówka, wnuki: na rowerku młodsza Kasia, z tyłu starszy wnuk Paweł podczas świąt Bożego Narodzenia 1990 r.

2. Najmłodsza wnuczka – 1995 r., Sosnówka, wnuczka Ewa po kolacji wigilijnej